

Piotr Stasiński

O autorytetach w nauce : na marginesie pracy Janusza Goćkowskiego "Autorytety społeczeństwa uczonych"

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (52), 152-156

1980

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

jako dwustopniowy układ komunikacji. Przypomnijmy, że w modelu tym akt komunikacji dydaktycznej uzależniony jest w swoim przebiegu od struktury komunikacji literackiej zaprojektowanej w omawianym na lekcji utworze. Efektem tych rozważań jest skonstruowanie systemu norm dydaktycznych odnoszących się do szkolnego nauczania literatury i korespondujących z zasadami dydaktyki ogólnej. Są to zasady: aktywnego uczestnictwa utworu literackiego w procesie dydaktycznym, kształcenia kompetencji odbiorczych, strukturalizacji, różnorodnych i atrakcyjnych form „wykonywania” utworu, wywoływania przeżyć emocjonalnych i przekształcania ich w estetyczne.

W zaprezentowanym powyżej omówieniu książki Chrzastowskiej zapewne uderzy czytelników zadziwiająca wstrzeźliwość w ferowaniu sądów wartościujących oraz unikanie starć polemicznych. Nie wynika to z tchórzostwa, lecz z ostrożności. W końcu obcowanie (czytelnicze) z widmem to sprawa delikatna. Pozostawiając tedy specjalistom mniemanologii stosowanej dociekania na temat wyższości jednego systemu kształcenia literackiego nad innym, chciałbym wywody te zakończyć refleksją natury osobistej. Otóż jeśli kiedyś komuś przyszło do głowy kwalifikować piszącego te słowa jako dydaktyka, to bardzo proszę o ulokowanie mnie w kwaterze dydaktyków uproszczonego literaturoznawstwa.

Władysław Dymak

O autorytetach w nauce Na marginesie pracy Janusza Goćkowskiego „Autorytety społeczeństwa uczonych”

Wielu uczonym wydaje się, że są ochotnikami. Tymczasem są funkcjonariuszami z poboru, którym wyznaczono miejsce, przydzielono rolę i określono cele wraz z zadaniami. Pod tym względem świat intelektualistów pełen jest reprezentantów «świadości fałszywej»¹.

Do wybitnego socjologa amerykańskiego, Paula Lazarsfelda, zwrócił się ktoś kiedyś o radę, jak mianowicie należałoby badać społeczne zachowania żołnierzy służby czynnej. „Przede wszystkim trzeba przestudiować regulamin wojskowy” — odpowiedział uczony.

¹ J. Goćkowski: *Autorytety społeczeństwa uczonych*. Wrocław 1979, s. 106.

Zachowania „oficerów”, „podoficerów” i „szeregowców” współczesnej nauki instytucjonalnej nie są wprawdzie określone w sposób tak oczywisty, sformalizowany i absolutny, jak pragmatyka armii, niemniej są przede wszystkim przedmiotem praktycznego zdeterminowania przez mikro- i makrosocjalną sytuację nauki. Niewielkie stosunkowo jest tu pole dla badania zachowań spontanicznych — poniekąd zakładanych przy użyciu socjologicznej metody ankietowej — znacznie natomiast większe możliwości daje nauka instytucjonalna różnym krytykom społeczeństwa, pamphleciście, producentom synekdochicznych bohaterów negatywnych (w rodzaju „docenta”) i wszystkim wrogom dehumanizującej instytucjonalizacji życia społecznego.

Zazwyczaj nie wiadomo, w którym punkcie taka jak nauka dziedzina instytucjonalnej praktyki przekracza próg biurokratyzacji, poza którym jej działanie staje się dysfunkcyjne lub obraca się całkowicie przeciwko osobowościom jej uczestników. Ani kryterium samorzutnego rozrostu, ani kryterium przekroczenia „poziomu kompetencji” na organizacyjnym stanowisku nie wydają się wystarczająco operatywne, aby można je w tej ogólnej postaci pozostawić, omijając konkretne — zwłaszcza historyczne i polityczne — specyfikacje. Podobnie sprawa się ma z kryteriami sformułowanymi pozytywnie, takimi jak „nauka w swym normalnym rozwoju”, które — przy zwykłych niedostatkach w wartościującym określeniu tego, co *normalne* — zawisają w empirycznej próżni.

Socjologiczne czy socjotechniczne rozważania nad autorytetem społeczeństwa uczonych są — jak myślę — sposobem na uchwycenie dialektycznego współzycia „regulaminu” z zachowaniami żywiołowymi w tej samej domenie społecznych instytucji. Jakkolwiek bowiem autorytet ma znakomity udział w tworzeniu, podtrzymywaniu i funkcjonowaniu hierarchii nauki, to jednak również stanowi wytwór ainstytucjonalnej — lub niekiedy nawet antyinstytucjonalnej — działalności „merytokracji”. Hierarchia jest systemem ról, których jednak właściwą pragmatykę zrozumieć można dopiero po uwzględnieniu takich m.in. szczególnych, owe role indywidualizujących atrybutów, do jakich należy autorytet. Hierarchia autorytetów nie musi bowiem pokrywać się z hierarchią ról w tej samej społeczności naukowców. Rozbieżności pod tym względem można traktować jako swego rodzaju miarę nonkonformizmu lub niezadowolenia zbiorowości uczonych wobec narzuconej im przez inne potęgi struktury instytucjonalnej. Gdy nauka (a więc i społeczność uczonych) jest silnie uzależniona od władzy dysponującej sankcjami pozamerytorycznymi, wówczas może wytworzyć alternatywne „wzory kariery”, „gradacje prestiżu” uczonych, takie mianowicie, które nie będą pasowały do formalnotytularnej hierarchii, ustanawianej i akceptowanej przez zewnętrznego dysponenta.

Z drugiej strony jednak pojęcie autorytetu implikuje nieodzownie konformizm względem niego samego. Moralne i merytoryczne kwalifikacje, jakie autorytet z sobą niesie, mają charakter wzorów za-

chowania w zawodzie naukowca, a jednocześnie głos autorytetu w jakiejś kwestii publicznej ma często moc rozstrzygającą. „Władcze” funkcje autorytetu z łatwością mogą zastęgać, gdy autorytetami są ludzie o skądinąd wysokiej pozycji w organizacji nauki. Autorytet przyrasta do roli i statusu, do stanowiska, tytułu naukowego. Staje się wtedy autorytetem eminencji.

Problem autorytetów w nauce, jeśli nie rozpatrywać go w kategoriach merytorycznej legitymizacji wiedzy, lecz jako problem funkcjonowania grup ludzkich i instytucji, jest raczej problemem socjotechnicznym niż socjologicznym. Opisowe, socjologiczne jego ujmowanie, o ile nie potrafi odpowiedzieć na pytanie: „dlaczego autorytety”, prowadzi bowiem do konstataowania ogólnych, w znacznym stopniu oczywistych prawidłowości działania nauki instytucjonalnej. Trudno tu o różnice poglądów, zwłaszcza gdy uniwersalistyczne ambicje autora takiego ujęcia skłaniają go do wyczerpania wszystkich aspektów zagadnienia w pieczołowitych rozróżnieniach, wyliczeniach i podziałach². Istotne natomiast dylematy powstają, gdy ktoś pragnie ocenić, jaki sposób funkcjonowania autorytetu naukowego byłby dla nauki (rozwoju wiedzy i postępu edukacji) „dobry”, „pożyteczny”, „słuszny”, „normalny” itp. Wysoka pozycja i wpływ nauki w cywilizowanych społeczeństwach powodują, że rozstrzyganie tego rodzaju kwestii nie bywa wewnętrzną tylko sprawą naukowców. Autorytet w nauce jest bowiem na ogół (drogą bezkrytycznej z konieczności transmisji) — autorytetem w społeczeństwie globalnym. O ile społeczność naukowa dysponuje kryteriami weryfikacji autorytetu, o tyle „opinia publiczna” zdana jest zwykle na „autorytatywne” sądy o autorytetach. Takie zaś przybierają w społecznym porozumiewaniu się skrótową, oszczędną formę tytułarną. Jeżeli zatem hierarchia autorytetów w nauce odbiega znacząco od hierarchii instytucjonalnej tejże nauki, wówczas autorytety naukowe (i reprezentowane przez nie wartości) są w dwójnasób społecznie izolowane. Po pierwsze — gdyż nie przylegają do „porządku dziobania” ustalonego przez organizację samej nauki, po drugie — ponieważ nie ma sposobu, aby zakomunikować nieprofesjonalistom, które autorytety są „autentyczne”.

W świadomości społeczeństwa polskiego jedno z najwyższych miejsc na skali prestiżu zawodów zajmuje „profesor uniwersytetu”³. Jest tak niezależnie od tego, czy jest on badaczem-teoretykiem, czy mistrzem i nauczycielem, czy twórcą szkoły naukowej, „klerkiem” czy „ekspertem”, czy też może — utytułowanym administratorem nauki. Niezależnie więc od tego, czy w samej społeczności uczonych jest szanowany za pracę badawczą bądź dydaktyczną, postawę etyczną bądź zagraniczną sławę. Niezależnie — tym samym — od tego, czy w ogóle jest autorytetem naukowym.

W wypadku społeczeństwa pracowników nauki instytucjonalnej sens słowa „autorytet” musi być przedstawiany jako bardziej wie-

² W niniejszym odczytaniu ten typ ujęcia prezentuje J. Goćkowski.

³ K. M. Słomczyński, G. Kacprowicz: *Skale zawodów*. Warszawa 1979.

loznaczny niż jego sens potoczny. Byłby to sens bliższy słownikowi języka angielskiego — gdzie pierwszą konotacją słowa *authority* jest *power* — niż słownikowi języka polskiego — gdzie konotacja związana z władzą właściwie nie występuje, a często — wręcz przeciwnie — autorytet bywa władzy przeciwstawiany. Wyjaskrawiony obraz społeczności naukowej tak często jest wykorzystywany jako metaforyczno-aluzyjny ekwiwalent funkcjonowania władzy (np. wewnętrznego uporządkowania jej elit, ich stosunku do rządzonych) nie tylko gwoli wygód płynących z takiej substytucji, ale i z powodu szczególnej subtelności rozkładu władzy w samych instytucjach nauki. W takich zastępczych (artystycznych, publicystycznych) konstrukcjach krytycznych niektóre konflikty pozwalają się wyrazić uwypuklić. Przede wszystkim następujące:

- 1) konflikt władzy i moralności,
- 2) konflikt uzurpatorskiej kariery i merytorycznych kwalifikacji do kariery,
- 3) konflikt autorytaryzmu i demokracji.

Zbiorowość pracowników nauki jest też użytecznym syntetycznym analogonem społeczeństwa awansującego cywilizacyjnie, w którym m.in. prestiżowe aspiracje i motywacje ambicjonalne ludzi występują w dużym, niepokojącym napięciu. Bezwzględny przymus kariery — pod groźbą „deklasacji” — jest we współczesnej nauce instytucjonalnej tyleż namacalny, co zarazem ujawnia swą absurdalność. Albowiem przy dzisiejszym liczebnym rozroście społeczności naukowców nonsensem staje się wymaganie od wszystkich na równi, by rytmicznie wspinali się z myślą o profesurze (a w duchu — o autorytecie naukowym), osiągając po drodze znaczące rezultaty merytoryczne.

„Klasa średnia” społeczeństw uczonych staje się w takich warunkach przede wszystkim klasą sfrustrowaną — przerażona tłokiem na szczycie, liczy lata i porównuje się z „limitami”. Harmonia (społeczne *equilibrium*), jaką skądinąd ta „klasa” gwarantuje, będzie więc z natury rzeczy harmonią niezdrową — opartą na kompensacyjnej, pozornej, agresywnej, biurokratycznej, a w najmniejszym stopniu — naukowej, samorealizacji. Zagadnienie autorytetów w nauce nie jest interesujące przez to, że autorytety są, lecz przez to, *jakie* są, *dlaczego* są takie, a nie inne, i *dla kogo* są autorytetami. W nauce sterowanej z jednej strony ściśle utylitarnie, a z drugiej strony — ideologicznie (które to sterowanie zresztą pociąga za sobą odpowiednio — nieracjonalny reżim zawodowy współistniejący z biurokratycznym marnotrawstwem), jedność i solidarność pracowników nauki wielce jest pozorna. Jeśli bowiem przyjąć hipotezę o „sfrustrowanej klasie średniej” naukowców, to wnioski można, że klasa owa będzie miała skłonność do kreowania i podporządkowywania się autorytetom uprawomocnionym przez realną (własną i innych) władzę oraz przez hierarchię formalnotitularną, ponieważ w nich przede wszystkim klasa ta znajdzie oparcie. Chodziłoby tu więc o autorytety w sensie „angielskim”. Autorytety natomiast w „polskim” sensie słowa oświecić będą ra-

czej drodze „dewiacyjnym” odłamom owej klasy średniej, nie akceptującym istniejącego wzoru instytucjonalnego nauki. Zarówno ideologia tych autorytetów, jak i sposoby ich kreacji będą się wówczas wspierać na przesłankach uniwersalistycznych, dających szansę zniesienia czy przekroczenia niezadowolającego „dewiantów” wzoru instytucjonalizacji. Kult takich autorytetów zmierzał więc będzie ku kategoriom moralnym, ku strzeżeniu *etosu* uczonego i ogólnych kulturotwórczych funkcji nauki. Kult taki może w konsekwencji zawierać w sobie pułapkę polegającą na zawieszeniu kryteriów merytorycznych w wyłanianiu i podtrzymywaniu autorytetów. Czystość moralna nie musi być bowiem z konieczności naukowo produktywna.

Kwestia autorytetów naukowych, rozważana tu i teraz, należy — jak sądzę — do dziedziny „folkloru” społeczności uczonych. Spór powstaje, gdy domagamy się odpowiedzi, o *czyich* autorytetach mowa. Gdy pytamy, jakie autorytety są w danych okolicznościach „prawdziwe”. A nawet trywialniej: *które* z nich chcemy uznawać. Takie konkretne, „folklorystyczne” rozstrzygnięcie kwestii autorytatywności uczonych jest dla społeczności naukowej jej „filozofią praktyki”, w której teoria przeobraża się w działanie, i dlatego mniej jest dla owej społeczności interesujące mnożenie obiektywistycznych, wielojęzycznych, typologicznych określeń autorytetu przez socjologa, bardziej zaś płodne są wszelkie socjotechniczne spory na ten temat.

Praca Janusza Goćkowskiego, na marginesie której powstały powyższe uwagi, spełnia częściowo oczekiwania, jakim autor tych uwag usiłował dać wyraz. Krytyczna sugestia jednak, którą chciałbym zakończyć, jest co najmniej utopijna, choć może warta wypowiedzenia. Życzyłbym sobie mianowicie, by praca tego rodzaju ujęta została w języku wyraziściej polemicznym, w którym wartościujące przesłanki socjotechnika wzięłyby górę nad socjologiczną obiektywizacją sądów i zostały dobitniej sformułowane. Problem autorytetu naukowego postrzegam bowiem przede wszystkim jako problem konfliktu autorytetów i konfliktu między różnymi ich legitymizacjami. W gruncie rzeczy sądzę, że bardziej utopijna jest socjologia próbująca stanąć ponad tego rodzaju konfliktem niż socjologia (socjotechnika?) biorąca otwarcie udział w walce.

Piotr Stasiński